



## Mirosław Derecki

### ŻYWIEC BEER SHOW

Czy nie zakrawa trochę na czarną satyrę fakt, że jedynym człowiekiem, który od lat konsekwentnie ratuje honor lubelskiego humoru jest lekarz psychiatra?

„Życie jest kabaretem, więc do kabaretu wstąp!” - śpiewa z gorzką ironią Elsa Minelli. Cóż, można i tak! Ale w przypadku doktora Jerzego Beera rzecz wygląda inaczej: kabaret stał się jego życiową potrzebą. Trudno by mu chyba było żyć i pracować bez tej odrobiny humoru, zabawy, kpiarskiego, choć ciepłego spojrzenia na świat, jakie propaguje niezmordowanie z wysokości swojej estrady.

Na dziesięciolecie istnienia kabaretu „Mixtura” działającego przy abramowickim szpitalu, kabaretu, którego jest założycielem, reżyserem, aktorem, a gdy zajdzie potrzeba również autorem tekstów i piosenek, Jerzy Beer przygotował spektakl zatytułowany „Żywiec Beer Show”, zawierający ekstrakt, dotychczasowych trzynastu programów „Mixtury”. Ale to jeszcze nie wszystko. Program stanowi przy okazji przegląd najlepszych numerów kabaretowych Beera z okresu jego nieprzerwanej dwudziestoletniej działalności na lubelskich scenach i scenkach.

Przy swoich niewątpliwych zdolnościach aktorskich i ogromnej vis comica mógł Beer w swoim czasie - zachęcany zresztą przez profesora Bardiniego - porzucić studia medyczne i szturmować progi szkoły aktorskiej. Mógł także w najcięższym okresie życia przejść na niezgorzej płatny chleb prowincjonalnego, estradowego chałturszczyka. Inaczej mówiąc, miał wszelkie dane po temu, żeby się wybić na scenie zawodowej, albo też żeby się bezpowrotnie zmarnować. Na szczęścia wybrał drogę na trudniejszą: pogodzenie życiowego hobby z życiowym powołaniem - medycyną. W przyszłości ta decyzja miała zaowocować sukcesami w pracy zawodowej i odznaką - Zasłużony Działacz Kultury.

Jurek prawie się nie zmienił w ciągu tych wszystkich lat, kiedy rozeszły się nasze drogi życiowe: od czasu, kiedy występowaliśmy razem na scenie lubelskiego kabaretu „Czart”. Niewysoki, krępy, zwinny, pełen wigoru, z maniackim niemal uporem szlifujący każdy gest, każde spojrzenie, wielokrotnie zmieniający koncepcję próbowanej właśnie scenki, grepsu czy gagu. Czterdziestka na karku, drugi stopień specjalizacji za pasem, dzieci od dawna odchowane, a... w sercu ciągle maj. Dwa razy w tygodniu kilkugodzinna próba z zespołem, co

pół roku premiera nowego programu, ciągle wyjazdy w teren, przedstawienia w miejskich, wiejskich, fabrycznych klubach i domach kultury, udział w eliminacjach i festiwalach, około czterystu występów „Mixtury” w ciągu ostatnich dziesięciu lat... Skąd on bierze siły na to, żeby jeszcze normalnie pracować, pogłębiać kwalifikacje, spełniać obowiązki męża i ojca?

Zdolności aktorskie i reżyserskie Jurka wzięły się „same z siebie”. Nie uczestniczył nigdy w żadnych kursach szkoleniowych, nie ślęczał na wykładach organizowanych przez Wojewódzki Dom Kultury dla kierowników zespołów amatorskich, teorię zgłębiał we własnym zakresie, z praktyką zapoznawał się na scenach zespołów studenckich, weryfikację instruktorską uzyskał nieomal mimochodem, na podstawie i w uznaniu jego licznych realizacji scenicznych, nagradzanych zresztą niejednokrotnie na ogólnopolskich festiwalach. Nigdy też „już od wczesnego dzieciństwa” nie marzył o zawodzie aktora, a w szkole ani mu w głowie były jakieś tam kółka recytatorskie. W rodzinie także nie było artystów. Przeciwnie. Beerowie kultywowali z dziada pradziada tradycje lubelskiego rzemiosła. Osiadli przy wielce zacnej ulicy Koziej, na wprost Bramy Krakowskiej, trudnili się piekarstwem, drukarstwem, a wywodzili się - jak to stwierdził naukowo dr Władysław Ćwik z UMCS - z grupy belgijskich kominiarzy sprowadzonych przed wiekami do Lublina.

Bez żadnych więc artystycznych obciążeń Jurek zdał maturę w gimnazjum im. Staszica i w 1954 r. równie bezkonfliktowo dostał się na medycynę. Tutaj jednak muzy zastawiły na niego sidła.

Jak to w owych czasach bywało, bez większych ceregieli został wcielony do chóru Akademii Medycznej. Nie pytano się, czy chce czy nie chce, miał dobry słuch i głos, a to wystarczyło. W tym chórze spiknął się z dwoma kolegami - Wiesławem Lipowskim i Zdzisławem Strzępkim. Kto z dzisiejszych czterdziestolatków nie pamięta słynnego Strzępka, saksofonisty, podpory początków lubelskiego jazzu?! Ale w owym czasie Strzępek wyżywał się jeszcze na akordeonie i on też stał się wkrótce wraz z Lipowskim i Beerem członkiem trio wokalnego, które popisywało się wykonywaniem popularnego szlagieru - „Kuri, kuri, basserenia”. Wtedy to właśnie ówczesny dyrektor Filharmonii Lubelskiej, Olgierd Straszynski, przepowiedział Jurkowi karierę wokalisty, która to zresztą przepowiednia nigdy się nie sprawdziła.

Ale Beer łyknął wówczas bakcyła estrady.

Zaczynała się robić moda na teatrzyki studenckie. W Krakowie działała „Piwnica pod Baranami”, w Gdańsku „Bim-Bom”, we Wrocławiu „Kalambur”. W Lublinie w 1957 r. w Piwnicy Studenckiej na Starym Mieście powstał kabaret „Sex”. Jurek Beer pełnił w nim kilka razy funkcję akompaniatora na rozklekotanym i popaczonym od wilgoci pianinie, w zastępstwie Andrzeja Żmigrodzkiego. I tam się właśnie poznaliśmy, jako że niżej podpisany występował w „Sexie” w parodii stripteasu.

Po krótkim żywocie „Sexu” lukę w studenckim żywociku teatralnym zapełnił teatrzyk Akademii Medycznej „Dren-59”, który - jak sama nazwa wskazuje, powstał w... 1958 roku. Jurek Beer był jednym z założycieli „Drenu” i tutaj dopiero ujawnił się jego talent aktorski i komediowy. Zaczął również pisać teksty i komponować muzykę do niektórych piosenek. „Dren” rezydował w mikroskopijnej salce zwanej „Dziurką” mieszczącej się w budynku dawnego klasztoru przy ulicy Hempla. Reżyserią programów zajmowali się zawodowi aktorzy - najpierw Lech Skolimowski, później Daniela Zborowska, Zbigniew Czeski, a także znany z warszawskiej „Stodoły” Jan Biczyski. Trzon zespołu stanowili: Jerzy Beer, Danuta Wójtowicz, Jadwiga Rzechowska-Siedlecka, Aleksander Łuckiewicz, Jerzy Kurczab, Andrzej Czarkowski i Wojciech Zajdler. Przez krótki okres produkował się w „Drenie” Piotr Szczepanik, a w przedstawieniu „Pluskwy” Majakowskiego zabłysnął na lubelskim firmamencie studenckim Piotr Suchora. Z tej grupy Suchora i Zajdler trafili na stałe do teatru, Szczepanik na podium piosenkarskie, a Danuta Wójtowicz - nie rezygnując z medycyny - na deski estrady.

„Dren” miał repertuar bardzo zróżnicowany. Od „Nocnej rozmowy z człowiekiem, którym się gardzi” Dürrenmatta i „Pluskwy” Majakowskiego, poprzez Gałczyńskiego, aż po estradowe składanki. W ciągu pięciu lat istnienia „Dren” przygotował dziesięć programów i dał około 200 występów. Brał udział w szeregu ogólnopolskich festiwali studenckich, a ukoronowaniem jego działalności było przyznanie teatrzykowi nagrody ministra Kultury i Sztuki. W czasie festiwalu studenckiego w Gdańsku w 1961 r. tak mówił o „Drenie” jeden z jurorów, Jerzy Kwiatek: „Chciałbym zwrócić uwagę na jedno kapitalne zjawisko w kulturalnym ruchu studenckim, które na festiwalu w Gdańsku zarysowało się bardzo wyraźnie. Oto zjawia się „nowa fala” zespołów. Przygotowuje się zmiana warty. „Dren 59”, „Kompleks 13”, „Uwaga 61” - oto ich imiona. Urodziły się w różnych środowiskach, nie zawsze w tych z najbogatszymi tradycjami. Stały się do rywalizacji z teatrami o sławnych imionach, bez kompleksów, jak równorzędni partnerzy...”

Z „Drenu” Jurek wyniósł spory warsztat aktorski, obycie sceniczne, a przede wszystkim specyfikę i nerw studenckiego kabaretu. Ową atmosferę kabaretów studenckich przeszczepili w znacznej mierze wraz z Danką Wójtowicz na scenę „Czarta”, który zaczynał już trochę popadać w operetkowo-podwieczorkowo-przy-mikrofonową manierę. W „Czarcie” zjawił się Jurek Beer w 1960 r. w programie „Dwa dni świeciło słońce”, zaprotegowany przez Dankę Wójtowicz, która już od dwóch programów była tutaj gwiazdą pierwszej jasności. Stał się z miejsca ulubieńcem publiczności, oklaskiwany szczególnie gorąco w piosenkach parodystycznych, w których wykonaniu celował. Próbował też sił w reżyserii.

Był wtedy na piątym roku studiów, właśnie ożenił się, wkrótce przyszedł na świat syn - Piotruś. Żyło im się niebogato, bo i stypendium nie było i mieszkania nie mogli dostać w

Lublinie, zamieszkali więc w wiejskiej chałupie w Mętowie, dziesięć kilometrów od Lublina. Spektakle i próby kabaretu kończyły się zwykle późno w nocy, kiedy już nie kursowały autobusy, taksówka do Mętowa kosztowała dużo, toteż Jurek nie namyślając się wiele, wyruszał różnym krokiem spod Bramy Krakowskiej i już o świcie docierał do domu.

Sytuacja mieszkaniowa poprawiła się, kiedy oboje, on i żona jeszcze jako stażyści, objęli oddział dla przewlekle chorych szpitala psychiatrycznego w Łysołajach. W pięknym pałacu senatora Popławskiego otrzymali wspaniały apartament - dwa pokoje z kuchnią i łazienką, dookoła rozciągał się stary park. Tutaj przyszło na świat drugie dziecko - Kasia.

Życie w Łysołajach byłoby absolutną sielanką, gdyby nie fakt, że Łysołaje leżą znacznie dalej od Mętowa, a pan doktor nie dał sobie wyperswadować uczestnictwa w kabarecie. Teraz dojeżdżał pociągiem do stacji Jaszczów, a następnie drałował jeszcze dwa kilometry błotnistą drogą do swojej „posiadłości”. Kiedyś, śmiertelnie zmęczony, wracając z występu przespał Jaszczów i obudził się w Chełmie. Ponieważ musiał być rano na dyżurze, a żadne pociągi już w kierunku Lublina nie odchodziły, zabrał się „okazją”, jadącą właśnie do Minkowic lokomotywą. Dalszą drogę, przez Biskupice do Łysołajów, przebył na piechotę.

Mieszkaniowo-kabaretowe tarapaty Beerów skończyły się ostatecznie w 1964 r., kiedy otrzymali pracę w szpitalu w Abramowicach, na przedmieściu Lublina, a wraz z nią piękne, trzypokojowe mieszkanie. Tylko, że już wtedy Jurek wycofał się z „Czarta”, założył w Abramowicach własny kabaret, który początkowo nosił nazwę „Psychodraka”, a wkrótce zmienił ją na „Mixtura”.

„Mixtura” dała nareszcie Jurkowi pełne pole do popisu jako reżyserowi. „Stała się rzecz dziwna - mówi Beer - o ile dawniej zależało mi przede wszystkim na tym, żeby wyjść na scenę, żeby się „wygrać”, o tyle teraz program przestaje dla mnie istnieć następnego dnia po premierze. Cieszę się pracą w czasie prób, cieszy mnie atmosfera przedpremierowa i... już chciałbym doznawać satysfakcji z zetknięcia się z nowymi tekstami. A kiedy program wchodzi w pierwsze próby, zaczyna mnie dręczyć myśl o następnym.”

W ciągu dziesięciu lat istnienia, przez „Mixture” przewinęło się około sześćdziesięciu osób. Występowały na tej scenie salowe i pielęgniarki z abramowickiego szpitala pospołu z lekarzami, księgowymi i pracownikami kuchni. Do momentu zanim nie założyła własnego kabaretu, „Remedium”, występowała w „Mixturze” Danką Wójtowicz, która też zresztą specjalizuje się w psychiatrii.

Kabaret jest jednym z najlepszych w Polsce zespołów amatorskich służby zdrowia, wielokrotnie zajmował pierwsze miejsca na festiwalach organizowanych przez Związek Zawodowy Pracowników Służby Zdrowia w Polanicy, trzykrotnie występował w Telewizji, nieraz produkował się przed mikrofonami Polskiego Radia, a w czasie Panoramy XXX-lecia reprezentował województwo lubelskie.

Programy, które zyskały dotychczas największe powodzenie i uznanie publiczności, to zestaw trzech jednoaktówek Muzy Pawiowej (w tłumaczeniu Jerzego Ksińskiego) – „Beethoven, nieboszczyk i inni” oraz składanka „Harce w Gorcach”.

„Miktura” jest kabaretem, który potrafił umiejętnie połączyć tradycje dawnego teatrzyku studenckiego ze specyfiką amatorskiej scenki satyrycznej działającej w środowisku pracowniczym i to stanowi głównie o jego uroku i niekonwencjonalności. Dla Jurka Beera jest zaś chyba dodatkowo pomostem przerzuconym w stronę „Drenu 59” i „Czarta”, między czasem młodości i czasem wieku dojrzałego.

A co przyniesie przyszłość? Prawdopodobnie mnóstwo kłopotów. Podczas ostatniej próby pojawiła się na estradzie „Miktury” jedenastoletnia córka Kasia i zażądała kategorycznie: „Tato, daj mi rolę!”

Oto, do czego doprowadziłeś Jurku, swoim postępowaniem!

Pierwodruk: „Kamena”, 1975, nr 1, s.10.